

Irek Męclewski

Biblia a reinkarnacja

albo
listy do Teofila

(Wybrane fragmenty książki)

Dla tych, co czekali.

Genesis

Niektóre przygody zaczynają się niespodziewanie. Przychodzą nieoczekiwane i niezaplanowane. Jak czasem dzieci. Człowiek sobie żyje i wydaje mu się, że wokół nic specjalnego się nie dzieje. I dzieć nie będzie. Zmaga się z dniem dzisiejszym i ze sobą. Martwi się o jutro, jakby dzień dzisiejszy nie dosyć miał swojej biedy.

Tak też było wtedy i ze mną. Jakiś czas wcześniej wyszedłem ze szpitala po poważnym wypadku, jeszcze nie całkiem sprawny fizycznie i ze sporą luką w pamięci. Nie wiadomo już, co gorsze. Bo nie wiedzieć o sobie wszystkiego, to czuć się trochę tak, jakby chodziło o kogoś innego, kogo się wprawdzie dobrze zna, ale są rzeczy, których się o nim nie wie. Tyle że w odniesieniu do innych to nie przeszkadza, jest wręcz naturalne. Jednak w odniesieniu do siebie... Czasem dziwnie się człowiek z tym czuje.

Konsultacje z psychologiem, do którego mnie wysłano, wypisując ze szpitala, też nie pomogły. Może dlatego, że raczej ich nie lubiłem. I to przecież zupełnie obcy facet był.

Powrót do codzienności, niepopłacone rachunki i takie tam. Trzeba to jakoś ogarnąć. Rozglądam się, pytam tu i tam o pracę, może być i coś dorywczego. Cokolwiek.

Jest. Stare mieszkanie w oficynie kamienicy niedaleko krakowskiego rynku. Mieszkanie trzeba wysprzątać i odświeżyć, bo lokator, który tam mieszkał, zniknął jakiś czas temu bez słowa. Dostałem adres i kontakt. Właścicielką okazała się starsza pani, można by nawet powiedzieć starsza dama, czy może ktoś, kto kiedyś damą był. Czuje się niewymuszone maniery oraz sposób bycia wyniesiony z jakiegoś bogatego, mieszczańskiego domu z przedwojennymi tradycjami. Zapewne gdy była panienką, miała nawet służącą. A teraz jest dość leciwa, trochę zgorzkniała i całkiem bezsilna – wszystko to wyraźnie wbrew swej woli. Jedno co wydało mi się trochę nieeleganckie, to że tak mi się przyglądała. A może i nie, może przez mój wypadek zrobiłem się przewrażliwiony. Zaprosiła mnie na herbatę, by wszystko omówić. Ale chyba bardziej po to, by porozmawiać. Może jej nikt nie odwiedza? Co tu omawiać, jeśli nie widziało się jeszcze, co dokładnie jest do zrobienia. Zaczęła mówić o różnych sprawach, wspominała, chwilami narzekała. Zapytana jednak o byłego lokatora zamilkła. Po chwili uniosła brwi i nabierając powietrza podniosła dłoń, jakby chciała na to machnąć ręką, ale jedynie ją powoli zamknęła i z krótkim westchnieniem opuściła.

Przepraszała, że ciasteczka do herbaty są już trochę podeschłe – ale jeszcze smaczne. Rzeczywiście, smaczne. Poskarżyła się jak gdyby niechcący, że gdy ktoś już przyjdzie, nigdy niczego nie

przyniesie, a skąd ona ma brać na to, żeby kogoś zawsze tylko częstować. Następnym razem będę musiał pamiętać, żeby coś przynieść.

Pokazała mi zszarzały i pożółkły egzemplarz „Przekroju” sprzed wielu lat, na którego okładce uśmiechała się młoda kobieta o oryginalnej urodzie, uderzająco podobna do Sofii Loren. To laureatka, ogłoszonego kiedyś przez to czasopismo, ogólnopolskiego konkursu na sobowtóra tej pięknej aktorki. A pani Róża, bo tak miała na imię, zajęła zaszczytne, ale jednak drugie miejsce. Więc nie ma jej na okładce. Dotyka swoich ust i mówi: Co się ze mną porobiło?

Jej ojciec przed wojną był właścicielem operetki. Niestety przehulał ją ze swoimi śpiewaczkami. Taki los. A ja sobie myślę: Kto wie, może to i lepiej, bo może zabranie wszystkiego przez komunistów byłoby jeszcze bardziej bolesne? Skutek końcowy byłby w zasadzie ten sam. Czy los i komuniści to jedno i to samo?

– To chodźmy zobaczyć, co jest do zrobienia.

Do mieszkania, czy raczej mrocznego lokalu, wchodzi się z podwórza, drzwi koło śmietników. No i właściwie przed odświeżeniem – co jest tu określeniem nader delikatnym – najpierw trzeba całość odgracić. Wywalić wszystko, co się nazbierało, bo wcześniej był tam jeszcze jakiś bardzo nietypowy zakład fotograficzny. Nie dochodzi tu prawie żadne światło i jest ciasno, a dodatkowo w rogu wydzielona jest ciemnia. Trzeba będzie rozebrać drewniane ścianki. Widać, że zakład był mały, a maszyny wydają się nieproporcjonalnie duże i chyba przede wszystkim ciężkie. Jedna z nich służyła do wywoływania wielkoformatowych odbitek, a druga Bóg jeden wie do czego. Stare, niemieckie, porządne maszyny. Na złom? Pani Róża próbowała je sprzedać, ale takich już nikt nie potrzebuje. Świat idzie do przodu i nie ogląda się wstecz. Trzeba je będzie porozkręcać i jakoś wywieźć. Może uda mi się po starej znajomości pożyczyć busa na pół dnia – kalkuluję sobie w myślach. To wszystko z pewnością zajmie trochę czasu. Poza tym do pomieszczenia, tam gdzie było jeszcze trochę miejsca, wciśnięte jest wąskie łóżko, stół z krzesłem, szafa z wyłamanymi drzwiami i mała kuchenka z odrapanymi szafkami. Na kuchence czajnik i jeden stary garnek. Jest zimno.

W szafie parę starych ubrań, jakieś śmieci, puste butelki, papierzyska oraz segregatory – może te segregatory to jeszcze firmowe? Pani Róża chce jak najszybciej wyjść – nie chce patrzeć i raczej nie ma ochoty tu przebywać. Na pewno niczego stąd nie potrzebuje – wszystko jest do wyrzucenia. Chyba że ja coś chcę. Zostawia mi klucze i zostaję sam. Co ja mam z tym wszystkim zrobić?

Siadam, gapię się na papiery w szafie i myślę, że nawet jeśli są to tylko stare rachunki, to w sumie jest w nich zapisana jakaś historia, pewnie są tam podpisy i pieczętki kogoś, kto już być może nie żyje. Pewnie podane są tam jakieś ceny i podliczenia, które dziś nikogo nie interesują. Papier jest długowieczny. Jest trwałym nośnikiem informacji i wiedzy. Na kartce listu miłosnego uczucia mogą trwać całe wieki. Gdyby ktoś za kilkadziesiąt lat usiadł tu na moim miejscu, mógłby te segregatory przejrzeć i sprawdzić, czy sumy są dobrze podliczone. Przejrzę je. Ale już nie dziś.

Wychodząc, na podwórku widzę jakiegoś chwiejącego się z lekka złomiarza z wózkiem. Widać, że mieszka w podobnej norze po przeciwnej stronie podwórka i że kończy już dzień swojej pracy. Mówi mi bezzębne dzień dobry i się uśmiecha. Pewnie coś będzie chciał, cholera. Co zrobić, gdy zapyta mnie o parę groszy?

Tak, większy samochód do transportu będę mógł pożyczyć.

– Wiesz, jakoś się dogadamy. Jak będzie trochę mniej roboty i wróci wcześniej z trasy... Damy radę.

To dodaje mi trochę otuchy. Może jakoś sobie poradzę. Ale brama kamienicy jest strasznie wąska – czy przejadę przez nią busem na podwórko? Wynosić wszystko na ulicę? Umysł straszy – jak zwykle. Wszędzie widzi te swoje problemy. Straszy, a potem zaraz pomaga: pożyczysz wózek od złomiarza – podpowiada. Widzisz, beze mnie byś zginął – zaznacza swoją niezbędność i dodaje: ja myślę, więc ty dzięki mnie jesteś. Tak mówi. Ale czy jest sens zawsze go słuchać?

Na drugi dzień pan złomiarz jest na posterunku. Wpółleży na ławeczce przed swoimi drzwiami, ma zwieszoną głowę i zamknięte oczy. Nie widać, żeby oddychał. Pytać go, czy zaczekać na lepszą chwilę? Ale czyż nieodmiennie najlepszą chwilą na zrobienie czegokolwiek nie jest teraz? Czy możemy coś zrobić nie teraz? Czy mogę zrobić coś wczoraj? Czy mogę zrobić coś jutro? Jutro to – być może – będę MÓGŁ coś zrobić, jeśli Bóg da. Ale nie mogę zrobić niczego jutro, przynajmniej dopóki to enigmatyczne jutro nie zamieni się w konkretne teraz. Idę teraz. Raz się żyje.

– Przepraszam pana... Przepraszam, czy gdybym potrzebował, to czy... czy pożyczylby mi pan swój wózek?

Podrywa się z ławki.

– A na co panu MÓJ wózek?!

Ja cicho:

– Bo, wie pan, być może będę musiał wywieźć trochę żelastwa z tamtego mieszkania na ulicę.

– A jakiego żelastwa? – pyta – Pokaż pan!

Idziemy.

– Jeśli panu to niepotrzebne, to ja to panu wywiozę – mówi.

– Dobrze – zgadzam się – nie ma sprawy, więc ja w tym czasie spróbuję rozwalić tę ściankę.

Patrzy i pyta:

– Jeśli ona panu jest niepotrzebna, to ja ją sobie rozbiorę i będę miał do pieca, i może jeszcze coś tu można porąbać? – pyta z nadzieją w głosie.

– Można, można, co tylko pan chce, co się tam panu na coś przyda.

Bóg wszędzie rozstawia swoich pomocników. I nawet im o tym nie mówi. Lubi milczeć. I lubi sekrety. I zawsze ma jakieś swoje sekretne plany. A kiedy nas samych gdzieś posyła, też nam o tym nie mówi. My, ludzie, mało go znamy i trudno nam coś o nim powiedzieć z własnego doświadczenia, z pierwszej ręki. Ale jedno możemy powiedzieć raczej z całą pewnością: on lubi milczeć. Jednak czasami, bardzo rzadko, zdarza mu się, że go coś korci, jakiś diabeł go kusi i chce się swoimi planami pochwalić, i wtedy posyła swojego proroka, mówiąc mu: Idź, będziesz moim prorokiem i zapowiesz światu Moje Plany! Co ty tam mówisz? Że ci nie uwierzą? Że seplenisz i

mówisz niewyraźnie, więc się do tego nie nadajesz? To ja ci mówię, że nadajesz się świetnie, bo ja lubię mieć ironiczne poczucie humoru! No, idź już i mnie nie wnerwiaj!

Jeśli chodzi o moje plany na dziś, to ja już w zasadzie nad podziw dużo zrobiłem – o resztę zadba pan Anioł Złomiarz. Więc sobie chwilę spocznę, bo przecież mam jeszcze trochę roboty z przejrzeniem segregatorów w szafie – zażartowałem w myślach. Nie wiedziałem, jak prorocze okazały się słowa: mam jeszcze trochę roboty z tymi papierami. Jakież było moje zdziwienie, gdy po otwarciu pierwszego segregatora znalazłem w nim pisane przez kalkę kopie dziesiątków prywatnych listów. Ileż tego. Prawie jak jakieś archiwum, wszystko skrupulatnie spinane, w miarę chronologicznie. W miarę. Bo analizując, próbowałem znaleźć jakiś rok, z którego mogą one pochodzić. Listy były datowane, ale tylko dniem i miesiącem, bez podania roku. Czasem były bez daty. Niektóre kartki wyglądały na fragmenty listów, gdzie być może wyjęto stronę lub dwie. Dość szybko się to potwierdziło, bo część papierzysek w szafie okazała się brakującymi fragmentami listów i trzeba było połączyć je w całość. Później uświadomiłem sobie jeszcze jedną rzecz. Jeśli mam kopie listów pisanych w odpowiedzi na listy przychodzące gdzieś ze świata, to gdzie są owe listy? Tu nigdzie ich nie ma. Może ktoś je zabrał, bo było ich mniej, więc były lekkie, a pewnie dla niego cenniejsze. Własne kopie zostawił, bo jest tego trochę i to waży. Ale po co w ogóle tworzyć kopie listów, które samemu się pisze? Dla siebie? Dla kogoś?

Im dłużej wertowałem, tym bardziej pierwotne wrażenie porządku zamieniało się w poczucie lekkiego chaosu. A może chaos nasilał się tylko w mojej głowie. Pojawiały się cytaty z Biblii, było coś o Jezusie, o Żydach i literaturze, a przede wszystkim rozważania o karmie i reinkarnacji. Chyba za bardzo chciałem ogarnąć wszystko naraz. Zamęt w głowie się potęgował, bo jakimś niezwykle zbiegiem okoliczności były to też kwestie, o których intensywnie rozmyślałem w ostatnim czasie, a może nawet latach. W zasadzie, jak się tak zastanawiam, nie potrafię powiedzieć, od jak dawna. Może to przez te luki w pamięci?

Rozmyślałem nad wszystkim i nie dawało mi to spokoju. Bo jak to jest? Albo żyjemy tylko raz, jak byłem zawsze uczony i jak mi mówiono. Albo...

Teraz w rękach trzymałem listy do jakiegoś Teofila, zwanego częściej zdrobniale Tośkiem, który po ciężkim wypadku przykuty jest do łóżka, Bóg wie gdzie, chyba gdzieś w Ameryce Środkowej. Po wypadku nieporównywalnie cięższym niż mój. Listy od jego przyjaciela z czasów młodości. Podpisywał się B. Czasem się nie podpisywał, co utrudniało orientację, czy list się już kończy, czy brakuje kartki, albo czy coś jest pomieszane, bo i tak się zdarzało. Listy o sprawach, które nurtowały mnie od tylu lat. Czy jeśli Bóg nic do mnie nie mówi, nie odzywa się, uparcie milczy, to czy może mi wysłać listy? Muszę je uporządkować, na ile się tylko da. Będzie ciężko, bo czasem są mało czytelne, gdy kalka była już za bardzo zużyta, a chwilami niektóre urywki są prócz tego zatarte i więcej trzeba się domyślać, niż można przeczytać.

Remont mieszkania – z Bożą pomocą – udało się skończyć o niebo lepiej, niż mogłem sobie wymarzyć. Oczywiście, jak każdy prawdziwy remont, trwał on dwa razy dłużej, niż zakładał najbardziej pesymistyczny plan. Jak się okazało, pan Anioł Złomiarz – zupełnie tego nieświadom – nosił imię antycznych filozofów, dwu Zenonów: z Elei i z Kition. Imię oznaczające tyle co „dar Zeusa”. Na co dzień, skromnie i zwyczajnie był sobie panem Zenkiem (co oczywiście ze

specyficzną gracją łączyło mi się z tradycją zen). Po udzieleniu mi niespodziewanej pierwszej pomocy na start, dalej czasami przychodził mi jeszcze „pomagać” w remoncie. Jak na kogoś o tak znaczącym imieniu przystało, ze stoickim spokojem obserwował heroiczny mozół moich zmagających się z gipsowaniem dziur w ścianach, walki z odpadającym w wielu miejscach tynkiem czy z łuszczącymi się warstwami starych farb. Udzielał mi przy tym bezcennych rad – życiowych, remontowych oraz hydraulicznych – bez których bym zginął z kretelem. Jego doświadczenie oraz niektóre filozoficzne spostrzeżenia były prawdziwie zadziwiające – *chapeau bas*, panie Zenku (bo pan Zenek zaskoczył mnie jeszcze znajomością francuskiego!). Czasami udawało mu się zmusić mnie do wychylenia z nim kieliszeczka. A czasami i dwóch.

Pani Róża, przy każdej zgłaszanej przeze mnie kolejnej obsuwie terminu, niezmiennie powtarzała, że to wszystko absolutnie nic nie szkodzi i żebym się w ogóle nie przejmował, bo ona nie takie rzeczy w życiu przeszła, pana Zenka to już ona dobrze zna, a najdłuższy nawet remont kiedyś się przecież skończy. Nigdy przy tym nie chciała oglądać bieżących wyników pracy, mówiąc, że mi ufa. Jeden jedyny raz na koniec zesłała na dół, by gwoli formalności, ale najkrócej jak się tylko da, rzucić okiem na pojaśniałe i pachnące świeżą farbą mieszkanko. Za to w trakcie remontu życzyła sobie prawie codziennego raportu z tego, co danego dnia udało się zdziałać. Tak, ona chciała po prostu porozmawiać, a z kolei ja nie chciałem robić jej przykrości. Więc rozmawialiśmy przy herbatce i ciasteczkach. Nieraz myślałem, żeby zapytać panią Różę o B., ale nigdy się nie odważyłem, czy raczej czułem, że z jakiegoś powodu lepiej nie pytać, uszanować jej niechęć do poruszania tematu. Będzie chciała, to sama coś powie, a ja wtedy wspomnę o listach. Ale tak się nie stało. W zasadzie do dziś nie wiem, czy były lokator i B. to ta sama osoba. A z perspektywy czasu wolę raczej myśleć, że nie. Bo na przykład nie było tam żadnych książek, a ja nie potrafię sobie B. wyobrazić bez książek. No cóż, może cały ten świat, będący przecież twórczą kreacją jego autora, tak jak ów autor lubi tajemnice?

Odnosnie do samych listów, po przeczytaniu wszystkiego (lub prawie wszystkiego, bo niewielkiej części nie udało mi się odcyfrować), doszedłem do wniosku, że skoro mnie tak bardzo to zainteresowało i – muszę przyznać – wciągnęło, to z pewnością musi być jeszcze ktoś, kogo ten temat nurtuje, a treść listów zacieka. Jeśli nawet, sam o tym nie wiedząc, czekałem na coś takiego, to może jest na tym świecie parę osób, które taki zbiór listów by ucieszył. Więc może warto podjąć jeszcze jeden wysiłek przepisania wszystkiego, poukładania w całość, dokonania wszystkich koniecznych redakcji, także w sprawach prywatności – tylko gdzie i jak tu stawiać granice? Wahałem się jednak, biłem z myślami całe wieki. Ostatecznie szalę przeważyła pewna przedziwna historia indiańskiego szamana o imieniu Czarna Pantera, którą znalazłem w jednym z listów. Myślę, że gdzieś w świecie jest ktoś, do kogo ta historia powinna dotrzeć. I mam dziwne uczucie, jakby to sam B. mnie zachęcał, żebym tak zrobił.

Zaś co do redakcji listów, po wielu długich rozważaniach i kontemplacjach zdecydowałem się pozostawić większość oryginalnego, zaskakująco niekonsekwentnego zapisu od małej bądź dużej litery zaimków odnoszących się do Boga, Jezusa i temu podobne (na przykład bądź woła twoja). Bardziej czuję, niż potrafiłbym to uzasadnić, że jest w tym pewien sens, nawet jeśli nie zawsze bym się z tym zgadzał, i że poprawienie zapisu na tradycyjny, taki „po Bożemu”, byłoby trochę nie fair. Także różny sposób zaznaczeń czy podkreśleń w tekście wydaje się niekonsekwentny, a ja swobodnie w formie pismo odręczne musiałem transponować na lekko kanciasty zapis

komputerowy, próbując jakoś dobierać pogrubienia czy kursywy. I nie dzielmy już włosa na czworo, że tu kursywa, a tam manuskrypt i tak dalej. Ostatecznie potraktowałem to wszystko jako *licentia poetica*. A wobec purystów zastosuję sztuczkę: zaapeluję tu o chrześcijańskie miłosierdzie. Tylko co zrobić z ateistami? (Przy okazji spieszę tu dodać, że ja bardzo szanuję ateistów, zwłaszcza tych, którzy to sobie dobrze przemyśleli).

Tak czy owak, Bóg jeden wie, ile czasu zajęło mi to wszystko, bo ja sam już nie potrafiłbym określić, ile czasu spędzałem na konkretnej pracy, a ile na zastanawianiu się, kontemplowaniu, medytowaniu, chodzeniu w kółko po pokoju, porównywaniu różnych tłumaczeń Biblii, roztrząsaniu najróżniejszych wątpliwości, a dodatkowo odwiedzaniu bibliotek i antykwariatów, sprawdzaniu rzetelności tych informacji, które sprawdzić mogłem. Jak mówi Kohelet, *tworzeniu wielu ksiąg nie ma końca, a ciągle rozważania utrudzają ciało*¹.

Ani się obejrzałem, gdy minęło wiele lat od znalezienia listów. Nie chcę powiedzieć, że stały się moją obsesją, czymś, o czym myślałem częściej niż o innych sprawach, ale jednak trochę tak było. Kiedyś, gdy już w zasadzie zdecydowałem, że w tej czy innej formie je opublikuję, doszedłem do wniosku, że odwiedzę panią Różę i jeśli tylko dostrzegę w jej oczach jakąkolwiek możliwość, wyłożę karty na stół – nic na siłę, podejść do tego z wyczuciem. Jednakowoż miałem mocne postanowienie, by temat listów poruszyć. W zasadzie nie potrafię powiedzieć, czego się przy tym obawiałem i dlaczego wciąż nie mogłem się zebrać. Nie wiem też, czego się po rozmowie z nią spodziewałem. Gdy któregoś dnia z jakimś dziwnym trudem wyszedłem wreszcie na pierwsze piętro kamienicy i zastukałem do jej drzwi, po chwili otworzyła mi kobieta w moim wieku i zanim którekolwiek z nas się odezwało, przez chwilę mi się przyglądała. W końcu przeprosiłem i zapytałem o panią Różę.

– Mama... zmarła trochę ponad tydzień temu, pan ją znał? – usłyszałem, a w uszach pojawił mi się szum i ucisk, który przypomina mi czasami o moim wypadku. Przełknąłem ślinę.

– W zasadzie to nie – przyznałem. – Robiłem kiedyś remont tego mieszkanka na dole i chciałem zapytać o coś pani mamę.

– Ach, to pan! Mama opowiadała mi o panu! Ależ ma pan szczęście, że mnie pan tu zastał, bo wpadłam dosłownie na dwie minuty. Przepraszam, że pana nie zaproszę, bo się teraz spieszę. Ale wie pan... coś panu dam! Kupiłam tę książkę mamie do szpitala, ale nie zdążyła jej nawet otworzyć – mówiąc to, posmutniała i zbierało jej się na łzy. Teraz ona przełknęła ślinę i dusząc łzy, podała mi książkę z półeczki pod lustrem przy wejściowych drzwiach. – Niech to będzie taki mały prezent od mojej mamy dla pana... za to, co pan dla niej zrobił.

– Ja? – dotknąłem własnej piersi. – Ależ ja niczego...

Złapała mnie za rękę, milcząco prosząc, żebym nic już nie mówił.

– Pan... chciał o coś mamę zapytać, to może akurat w tej książce znajdzie pan jakąś odpowiedź? – zawiesiła na sekundę głos. – To chyba głupie, co teraz powiedziałam, przepraszam, zupełnie nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. – Uśmiechnęła się delikatnie i dodała: – Ale czy to trzeba zaraz wszystko wiedzieć? – po czym uśmiechnęła się niemal całkiem promiennie.

1 W tekście cytaty i wtrącenia z Biblii zaznaczone są kursywą. Indeks cytatów znajduje się na końcu książki.

W zasadzie miała już wychodzić z mieszkania, więc zamknęła drzwi na klucz i zesłiśmy razem po schodach. Gdy stanęliśmy przed kamienicą, okazało się, że dopiero co poznana córka pani Róży idzie w przeciwną stronę niż ja. Szybko się pożegnała, bo na dodatek zbierało się na deszcz. Potem, idąc już w swoją stronę z książką w ręce, uświadomiłem sobie, że może trzeba było się jeszcze jakoś spróbować umówić, wziąć numer telefonu czy coś. Ale może ona ma rację. No i możliwe, że rzeczywiście znajdę jakąś odpowiedź w tej książce. Jakkolwiek byłbym zdziwiony pomimo tego, iż to jeden z moich ulubionych pisarzy – Jerzy Pilch. Tytuł: *Upadek człowieka pod Dworcem Centralnym*. Pozycja okazała się zbiorem felietonów drukowanych wcześniej w „Polityce”. Zdarzyło się raz, że z panem Pilchem staliśmy koło siebie w księgarni przy Brackiej, każdy zaabsorbowany przeglądaniem leżących przed nim książek. To było jakoś w tym okresie, gdy robiłem remont u pani Róży. W którymś momencie zwróciliśmy na siebie uwagę i popatrzyliśmy sobie chwilę w oczy – odrobinę dłużej niż dwóm obcym sobie mężczyznom by wypadało – jakby w tym czasie sprawdzając w zakamarkach pamięci, czy już się gdzieś kiedyś nie spotkaliśmy.

Wieczorem w domu otworzyłem książkę – ten niespodziewany prezent od pani Róży – i zacząłem czytać. Pierwszy felieton nosił zagadkowy tytuł *Historia węża w butelce*. I choć na tamtą chwilę nie chciałem do końca pogodzić się z myślą, że nie zawsze trzeba wszystko wiedzieć, to muszę przyznać, że już pierwsze zdanie spowodowało u mnie lekkie uniesienie brwi: „Nocami śnieg schodzi z dachu z łoskotem, jakby wszystkie wcielenia spadały na ziemię”. I dalej jeszcze parę innych słów nocnych rozmyślań wywołanych bezsennością autora, by w końcu poniższy fragment wywołał na mojej twarzy pełen uśmiech:

Dalej poleguję i dalej myślę, że opisywanemu w gazetach angielskiemu trenerowi należy się spokój, ale też z drugiej strony myślę, że jakbym sam w jakimś moim wcieleniu był na przykład piłkarzem, nie pragnąłbym, by mój trener był nazbyt fundamentalnym wyznawcą i praktykiem reinkarnacji. Nie chciałbym, żeby mój trener z ławki widział, jak za mną po boisku moje poprzednie wcielenia ganiają. Jestem piłkarzem, prowadzę piłkę, za mną redaktor „Tygodnika Powszechnego” identycznie drybluje, za nim uczonego filolog, za nim ktoś jeszcze może, jakiś wrak obyczajowy w identycznie twarzowym owerolu, gra się komplikuje, futbol traci sens.

Trzeba powiedzieć otwarcie: reinkarnacja reinkarnacją, a futbol futbolem. Piłka nożna może nie jest sprawą najpoważniejszą (choć i z tym bym polemizował), ale niewątpliwie piłka nożna jest sprawą poważniejszą od reinkarnacji. Tyle tu można powiedzieć, a i to jest za dużo, dalej nie będę żadnych daremnych facecji na temat ewentualnych związków pomiędzy metempsychozą a na przykład sztuką egzekwowania kornarów snu. Lepiej wam historię o wężu w flaszce dopowiem.

Listy

(wybrane 2 przykładowe spośród 41)

26 kwietnia

Jak tam, Teosiu, u ciebie?

Jak się tam masz, bo ja akurat mam dziś lepszy nastrój i mam nadzieję, że ty też. Póki co próbuję się domyślać, o co ewentualnie mógłbyś jeszcze pytać. Ja ciągle nie czytam w twoich myślach – muszę jeszcze poćwiczyć!

Gdy tak gawędzimy sobie o reinkarnacji, musimy pamiętać o jednej rzeczy. Ona nie jest podstawą nauk w żadnej religii. Pojawia się tylko wtórnie jako skutek mechanizmów, praw rządzących tym światem. Oczywiście ten świat jest połączony z tamtymi światami, z piekłem i niebem. Ten czyściec, wymyślony na siłę, jest w tym obrazie zbyteczny i nawet nie chce mi się o nim gadać. Wymyślony z potrzeby, bo ludzie jednak czują, że dla spokoju ducha coś by się tu przydało. No bo każdy normalny człowiek umiera mniej lub bardziej jako grzesznik, no i chyba nie wypada, żeby tak zaraz w takich brudnych buciorach laźł do nieba. Musi się trochę oczyścić, poczekać, popokutować sobie trochę, przemyśleć, przygotować i dopiero elegancki może wejść na Boskie salony. Bo gdzie jak gdzie, ale tam podłogi lśnią jak lustro. Lecz jeśli jest już tak usmarowany smołą, że nic go nie doczyści, to Święty Piotr każe aniołom jeszcze wytarzać go w pierzu i idzie taki nieborak do piekła. Pierwszą karą jest już właśnie ta droga, bo wszyscy patrzą i widzą, co z niego za gagatek. Pokazują go sobie palcami i wołają: „Grzesznik! Grzesznik! Do piekła z nim!”. Przynajmniej co niektórzy – ci bardziej świętoszkowaci. Potem już tylko pozostaje smażyć się przez całe wieki, całą wieczność, wiekuistość, w nieskończoność, zawsze, bezustannie, po wsze czasy, na wieki wieków i chciałbym w końcu powiedzieć, że do grobowej deski, żeby jakoś to przerwać, przerwać jakkolwiek i już na to nie patrzeć. Dość. Ale w tym obrazie żadnej śmierci nie ma. Jeśli są ludzie, którzy jedynie z powodu takiego obrazu zostają ateistami, mają moje pełne rozgrzeszenie. A jeśli miałbym zrobić ranking rzeczy, które w tym świecie zadziwiają mnie najbardziej, na pierwszym miejscu znalazłaby się niezwykle łatwość i bezrefleksyjność, z jaką ludzie skazaliby swoich, czasami tylko trochę bardziej grzesznych od siebie, bliźnich. Drugie i trzecie miejsce – puste. A taki miałem dobry dzień. Muszę się przejść, bo aż się, cholera jasna, zdenerwowałem.

I drugi, alternatywny obraz z reinkarnacją w tle, która na popełnianie błędów ma czas, ma całe wieki, całą wieczność, wiekuistość, może się powtarzać w nieskończoność, zawsze, bezustannie, po wsze czasy, na wieki wieków i tu mogę w końcu powiedzieć, do grobowej deski, bo tu można umrzeć. Ale trzeba umrzeć już w innym sensie – umrzeć ostatecznie dla tego świata. *Jeśli się ktoś nie narodzi na nowo, nie może ujrzeć Królestwa Niebieskiego* – mówi Jezus do odwiedzającego go potajemnie nocą dostojnika żydowskiego, Nikodema, który dopytuje: *Czyż może człowiek, będąc starcem, powtórnie wejść do łona swojej matki i się narodzić?* A Jezus, znającemu przecież prawo i pisma, mającemu swe lata i mądrość uczonemu tłumaczy dalej: *Jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z ducha, nie może wejść do Królestwa Boga. Co jest zrodzone z ciała, jest ciałem, a co jest zrodzone z ducha, jest duchem. [...] A ten duch, jak wiatr, wieje, gdzie chce, i szum jego słyszysz, ale nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd idzie.*

Co do samego Nikodema, to przy tej okazji zauważ, jak mocno ta rozmowa czy też spotkanie Jezusa w ogóle musiało na niego wpłynąć. Niewiele takich pobocznych postaci pojawia się parę razy. A Nikodema spotykamy jeszcze na początku procesu Jezusa, gdzie jest on tym jedynym członkiem wysokiej rady, który próbuje go bronić, oraz po ukrzyżowaniu, kiedy wraz z Józefem z Arymatei zajmuje się zabraniem i pochowaniem ciała Jezusa.

A co do jego rozmowy z Jezusem, znów pojawia się kwestia tłumaczeń, gdzie warto nam pamiętać, że przekład z jednego języka na inny nieodzownie łączy się z jednoczesną interpretacją tekstu. Ładnie to widzimy w angielskim, gdzie jednym ze słów oznaczających tłumacza jest przecież *interpreter*. Nie wiem dokładnie, jak tam twój hiszpański, ale jestem pewien, że po takim czasie jest bardzo dobry i sam na pewno też znasz ten problem. No więc powyżej napisałem: *A ten duch, jak wiatr, wieje, gdzie chce...*, a może trzeba raczej powiedzieć: *A ten duch, jak wiatr, tchnie, gdzie chce...*, co różni się trochę od tego, co znalazłbyś, otwierając zwykłe tłumaczenia, bo tam jest nader krótko: *Wiatr wieje, gdzie chce*. Jednak w greckim oryginale ten wiatr to *pneuma*, które to słowo znamy przecież z wszelkiego rodzaju urządzeń *pneuma*-tycznych, czyli na powietrze, na wiatr, który je niejako na czas ich pracy „ożywia”. I *pneuma* oznacza także duszę, ducha i tchnienie jako ten ruch powietrza właśnie. A wieje to *pnei*, czyli tam ta *pneuma pnei*, ten wiatr wieje, duch tchnie – ożywia. Podobnie Bóg stwarzając, lepiąc Adama z prochu ziemi, z gliny, ożywił go, gdy na koniec tchnął w niego duszę, tchnął w niego swego ducha, swoją *pneumę*. Inkowie na ciało człowieka mówili „animowana ziemia”. Tak więc, Teofilu, twój *duch jest jak wiatr, wieje, gdzie chce, i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd idzie*. Sam biorę teraz parę głębokich oddechów i słucham... A szum, który słyszę, to jakby odgłos kroków Pana... Jakbym słyszał miarowe szuranie jego kapci. Zrób to samo...

I jak ci się to podoba? Czyż nie jest zachwycające?

W Pierwszym Liście do Koryntian Paweł mówi o tym wszystkim (to znaczy bez Inków i bez kapci). W niektórych słowach podaję ci od razu takie podwójne znaczenia, umykające nam w powszechnie funkcjonujących przekładach. Wywody Pawła są długie i z dzisiejszego punktu widzenia chwilami trudne, więc niewykluczone, że w całości są one ciekawe jedynie dla freaków. Skracam, ile mogę – głównie powtórzenia mające podkreślać znaczenie i wagę słów:

I tak jest ze zmartwychwstaniem umarłych: siane jest w zniszczeniu/zepsuciu, a podnosi się nieskazitelne, [...] siane jest ciało zmysłowe/cielesne, a wstaje ciało duchowe. [...] Tak też jest napisane: Stał się pierwszy człowiek, Adam, duszą żyjącą, a ostatni Adam, duchem ożywiający.

Więc pierwsze nie jest to, co duchowe, ale to, co zmysłowe, a duchowe jest potem. Pierwszy człowiek jest z ziemi, gliniany/ziemski, człowiek drugi, z nieba. [...] I jak nosiliśmy obraz/podobieństwo tego glinianego/ziemskiego, tak też będziemy nosić obraz/podobieństwo tego niebieskiego. Zapewniam was, bracia, że ciało i krew nie mogą odziedziczyć Królestwa Boga i że to, co zniszczalne/skazitelne, nie może odziedziczyć niezniszczalnego/nieskazitelnego. Oto oznajmiam wam tajemnicę: nie wszyscy umrzemy, ale wszyscy będziemy przemienieni, w jednej chwili, w mgnieniu oka, bo na dźwięk ostatniej trąby umarli wzbudzeni zostaną jako niezniszczalni, a my zostaniemy przemienieni, [...] wtedy wypełni się to słowo, które jest napisane: Zwycięstwo pochłonęło śmierć. Gdzież jest, o śmierci, twe żądło? Gdzież jest, piekło/hadesie, twe zwycięstwo?!

Przy okazji możemy się jeszcze przyjrzeć pewnym kwestiom i sami zobaczyć niektóre słowa z dodatkowej perspektywy, gdy popatrzymy na grekę. *Siane jest ciało zmysłowe*, czyli w oryginale: *speiretai sōma psychikon*. *Soma* – ciało. *Psychikon* – zmysły (z czym dziś mamy tę trudność, że *psychikon* za bardzo kojarzy nam się z *psyche*). Jednak siana jest *soma psychikon*, a wskrzeszana *soma pneumatikon*. W *soma psychikon* objawia nam się coś, co znamy jako objawy psychosomatyczne – widzimy tu konstrukcję człowieka, takie *body-mind*. Czy przy normalnej lekturze Biblii w *ciele zmysłowym* dopatrzyłbyś się *body-mind*? Bo ja w życiu. W każdym razie nie w jednym, że tak powiem. *Siane jest body-mind*, wskrzeszane jest *body-spiritual*. Dopiero gdy znika *umysł*, wskrzeszany jest *duch*. I sam jestem teraz zaskoczony, że jedno i drugie ma jakies „body”. Ale to razem prowadzi do konkluzji, że w „body” miejsca jest tylko na jedno: albo umysł, albo duch. *Pierwszy człowiek jest z ziemi, człowiek drugi, z nieba*.

Jeszcze jedna refleksja jawi mi się tu na marginesie: odnoszę wrażenie, że oficjalnie, jako podstawowe i najważniejsze, głoszone są nam dwie rzeczy: ciało i krew. Razem stanowią one punkt kulminacyjny ofiary eucharystycznej. I nie wiem teraz, co zrobić, bo czuję się zagubiony, gdy powyżej od Pawła usłyszałem, jeśli pamiętasz: *Zapewniam was, bracia, że ciało i krew nie mogą osiągnąć Królestwa Boga*. Temat się komplikuje i jak krew gęstnieje, i teraz nie wiem, czy słowa prośby Jezusa, *to czyńcie na moją pamiątkę*, nie potrzebowałyby jakiejś – przepraszam, *excusez le mot* – nowej egzegezy albo hermeneutyki? Więc gdybyś przypadkiem został kiedyś papieżem, to pamiętaj, żeby się tym zająć i koniecznie, ale to koniecznie rozstrzygnąć, czy bardziej potrzebna jest tu egzegeza, czy hermeneutyka. A może jeszcze coś z zupełnie innej beczki? Na przykład chłopski rozum albo pamięć o tym, że gdzieś tam, rozmawiając z uczniami Jezus, *rzekł: Wysławiam cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i inteligentnymi, a odkryłeś przed małymi*. A dosłownie przed niemowlętami, *nēpiois*. Coś podejrzanie to greckie słowo kojarzy mi się tu z neptykami.

Ale wróćmy do rzeczy. Powyżej mowa jest o pierwszym i ostatnim Adamie, pierwszym i ostatnim człowieku, pierwszym z ziemi, ostatnim z nieba. Czy można to rozumieć jako zasygnalizowanie terminu, który pojawi się eony, wieki później, czyli dobrze nam dziś znane pojęcie kryjące się pod nazwą „ewolucja”? A może swego rodzaju metamorfoza czy przeobrażanie – przepoczwarczenie jak u owadów? Owady. Zaglądałem z ciekawości do podręcznika biologii. Pierwsze jest jajo. Potem larwa i poczwarka. Ostatnie – imago! O, jakżeż mało znane słowo, ale nie dlatego dałem wykrzyknik. To ja sam aż przy tym podskoczyłem i sobie wykrzyknąłem. Imago znaczy obraz – coś jak „na obraz i podobieństwo”?! Wyimaginuj sobie, że imago, stadium ostatnie, to owad dorosły, owad już DOSKONAŁY (to słowo z podręcznika, nie moje – moje jest podkreślenie). Imago jest ostatecznym etapem rozwoju osobniczego owadów przechodzących proces przeobrażania – imago

nie przechodzi już dalszych linii. Sparafrazowałbym podręcznik biologii tak: po osiągnięciu doskonałości nie przechodzi już dalszych wcieleń.

Gdy pierwszy Adam zostaje wygnany z Raju, słyszy od Boga na do widzenia: *W pocie czoła będziesz zdobywał chleb, aż wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty, bo prochem jesteś i w proch się obrócisz*. Zwróc uwagę, że nie widać tam dla Adama ratunku, nie widać żadnej nadziei na jakiegokolwiek niebo, jakiegokolwiek zbawienie. W zasadzie maluje się tu taki materialistyczny, nawet komunistyczny obraz (mam jakąś obsesję czy co?), obraz bez Boga, bez zbawienia, a w tym obrazie jesteś na tej ziemi jej prochem, będziesz jadł chleb, a na koniec pójdiesz do ziemi. Do piachu, jak to się mówi. I tyle. Nie wiem jak ty, ale ja chciałbym dać Adamowi jakąś szansę, bo w końcu jemu zawdzięczam, że tu jestem. Gdyby on nie zgrzeszył, nie byłoby nas. Nie widziałem jeszcze, żeby ktoś jemu, a może przede wszystkim jego kobiecie, podziękował za ten ich grzech. Wszyscy tylko to swoje: „Zgrzeszyli! Zgrzeszyli! Do piekła z nimi, do piekła!”. Hmm... Już wiem, dopiero teraz na to wpadłem, dlaczego nikt im nie dziękuje! Bo może wszyscy podświadomie czujemy, że z tego mogłyby wyniknąć nie lada kłopoty. No bo gdybyśmy zaczęli już komuś dziękować za grzech, to na kim przyszyłoby nam owo dziękowanie skończyć?

Wracając do Pawła, gdy wspomina o śmierci, myli nas jej powszechne rozumienie jako jedynie śmierci ciała. Nazwę ją śmiercią pierwszą, bo sam Paweł, zapowiadając w powyższym fragmencie „oznajmienie tajemnicy”, stara się wyjaśnić, co oznacza dziedziczenie Królestwa, a inaczej: zmartwychwstanie. Jest ono pokonaniem śmierci drugiej – związanej z karą za grzechy i tu podpadną teologom już ostatecznie i na wieki – będącej trwaniem w kole śmierci; ktoś inny powiedziałby: w kole samsary. A jakiś żyd wspomniałby tu gilgul (czyli koło, cykl). Ową śmierć drugą widzimy *expressis verbis* w Apokalipsie: *Zwycięzca odziedziczy wszystko i będę mu Bogiem, a on będzie mi synem. A co do tchórzy i niewierzących, czyniących obrzydliwość, morderców i rozpustników, czarowników i tych, co zwodzą, i wszelkich kłamców – ich udziałem będzie jezioro płonące ogniem i siarką – to jest śmierć druga*. Co jest arcyciekawe, nie ma jej w takim dosłownym, numerowanym nazwaniu w Starym Testamencie, czyli w Tanachu. Pojawia się ona jednak w paru jego żydowskich rozwinięciach, zwanych targumami – na to ostatnie pojęcie natrafiłem dopiero, grzebiąc głębiej w tym temacie. Aż czasami żałuję tego grzebania i może niepotrzebnie wchodzimy w materię zbyt dla nas, amatorów, hermetyczną. Będziemy musieli pomalutku i niezauważalnie, stopniowo jakoś wycofać się rakiem.

Ale póki co i dla niepoznaki, jeśli masz wątpliwości, to przyjrzyjmy się jeszcze innej scenie. Widzimy w niej jednego z dalszych uczniów, który deklaruje, że chce pójść za Jezusem, ale prosi go jeszcze o pozwolenie na pochowanie swego ojca. Tu musimy dodatkowo pamiętać, że w tamtej kulturze pochowanie ojca przez syna było niezmiernie ważnym, religijnym obowiązkiem – koniecznym do odprawienia rytuałem. Jezus mu odpowiada krótko: *Pójdź za mną, a martwym zostaw grzebanie ich umarłych*. Jak to jest, że Jezus żywych przecież ludzi, żywych żałobników, nazywa martwymi, umarłymi? Zauważmy też, co w jednej z najbardziej znanych przypowieści Jezusa ojciec mówi o odzyskanym synu marnotrawnym: *ten syn mój był martwy, a ożył, zaginął, ale się odnalazł*.

Przy okazji z tego wszystkiego wynika, że Jezus jest żywy. Pokonał drugą śmierć. A gdzie indziej dowiadujemy się od niego, że ma też żywą wodę, wodę życia. Z łaciny woda życia to *aqua vitae*, czyli po staropolsku okowita, ale akurat to chyba nie o tej wodzie życia Jezus mówił.

Często pewne kwestie możemy zobaczyć jeszcze wyraźniej, gdy zestawimy je w kontraście. Saduceusze, którzy nie wierzyli w zmartwychwstanie, zadali Jezusowi w ich mniemaniu podchwytliwe pytanie o to, czyją żoną po zmartwychwstaniu będzie kobieta, która poślubiła siedmiu braci, każdego kolejno po śmierci poprzedniego. Potocznie w odpowiedzi Jezusa widzi się komentarz co do natury nieba, że wszyscy będą jak aniołowie – bezcieleśni, więc też i bez związanej z ciałem płci – bez płciowości, seksualności, niewinni jak dzieci, tak więc to przyziemne pytanie saduceuszów nie ma sensu. Ale w drugiej części tej odpowiedzi widać jeszcze coś innego: *Bo umierać już więcej nie mogą, [...] jako synowie zmartwychwstania, są synami Boga. A że martwi zmartwychwstaną, to już Mojżesz pokazał przy krzaku, nazywając Pana, Bogiem Abrahama, Bogiem Izaaka i Bogiem Jakuba. Bo Bóg nie jest Bogiem umarłych, lecz żywych.* Dawno zmarłych i pogrzebanych proroków Jezus nazywa żywymi. Żywymi i już zmartwychwstałymi! A robi to, uwaga, jeszcze przed sądem ostatecznym. Chyba że coś przegapiliśmy? Więc oni zmartwychwstali przed Dniem Sądu? A więc i przed paruzją, czyli powtórным przyjsciem Chrystusa na ziemię? A nawet przed jego pierwszym przyjsciem?! Bo przecież Jezus to mówi w trakcie pierwszego pobytu na ziemi. A może nie pierwszego? No bo reinkarnacja – jeszcze do tego wrócimy. Hej, czy tylko ja jeden mam takie wrażenie, że coś tu się nie zgadza?

Oczywiście myślę, że teologowie mogą powiedzieć, że osób tak ważnych i dostojnych jak patriarchowie nie dotyczą reguły obowiązujące zwykłych śmiertelników i nie muszą oni czekać i stać z nimi w kolejce. Czy tam raczej leżeć, bo to długi czas, więc lepiej leżeć i sobie spoczywać. Oni mają specjalne wejścia dla VIP-ów. Jezus sam siebie najczęściej skromnie nazywa synem człowieczym, czyli człowiekiem. A na marginesie, po aramejsku człowiek i syn człowieczy niczym się nie różnią – to jest jedno i to samo pojęcie, lepiej, żebyśmy zawsze o tym pamiętali, gdy je usłyszymy.

No dobrze, żarty na bok, poszukajmy jeszcze szybciotko zwykłych ludzi, czyli inaczej synów ludzkich. Wszystko tu jest ciekawe, ale skracam, ile mogę:

Jeśli wtedy ktoś wam powie, oto tu jest Chrystus albo jest tam, to nie wiercie. [...] To [ja, Jezus] wam przepowiedziałem. [...] Jak bowiem piorun błyska na wschodzie, a widać go aż na zachodzie, takie też będzie przyjscie Syna Człowieczego. [...] A zaraz po udręce tych dni słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku, gwiazdy będą spadać z nieba i zatrząsą się moce niebieskie. Wówczas ukaże się na niebie znak Syna Człowieczego. Wtedy będą biły się w piersi wszystkie ludy ziemi i ujrzą Syna Człowieczego przychodzącego na obłokach niebieskich, z mocą i wielką chwałą. I pośle on swoich aniołów z potężnym głosem trąby i zgromadzą jego wybranych z wszystkich stron świata, po wszystkie krańce nieba. [...] Tak i wy, gdy zobaczycie to wszystko, wiedzieć będziecie, że blisko jest u drzwi. Zaprawdę mówię wam: nie przeminie to pokolenie, aż się to wszystko nie stanie.

Nie przeminie to pokolenie! W ówczesnej rachubie i języku oznacza to, że nie minie więcej niż około 40 lat. Czyli jednak coś przegapiliśmy? W tej samej Ewangelii Mateusza, parę rozdziałów wcześniej: *Zaprawdę mówię wam, niektórzy z tych co tu stoją, nie zakosztują śmierci, aż ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego ze swoim Królestwem.* I u Marka mamy te same słowa, i u Łukasza podobnie: *Niektórzy z tu stojących nie zakosztują śmierci, aż ujrzą Królestwo Boże.*

Bardzo późno zauważyłem, że owa zapowiedź w Ewangelii wraz z opisem, jak będzie wyglądał koniec świata, podobne są i mają podobny nastrój do tej bardziej znanej i powszechnie kojarzonej wizji Jana w jego Apokalipsie. I czy teraz w związku z tym wszystkim, co powiedziałem powyżej,

zbyt śmiałym będzie twierdzenie, że koniec świata jest doświadczeniem indywidualnym? Że jest doświadczeniem osoby, osoby, doświadczeniem tego, że się nią nie jest, a jest się całym kosmosem, synem Boga. Że ten koniec jest pożegnaniem ze starym światem, który dosłownie cały odchodzi w cień przeszłości, kończy się dla osoby. Takie kosmiczne doświadczenie musi siłą rzeczy być wstrząsające – cały świat trzęsie się w swych posadach. Podobno część ludzi nie przeżywa już tego w ludzkiej, psychosomatycznej formie i opuszcza ten świat. Niektórzy zostają, by między innymi móc też o tym opowiedzieć, jako naocni świadkowie zaświadczyć o tym, o tej prawdzie. Czy wydaje ci się, że to wszystko jest zbyt śmiałym, zbyt ryzykownym twierdzeniem?

Bo dodajmy do tego jeszcze jedno, kluczowo ważne pytanie: czy Jezus oszukał tych, do których odnosiły się te jego słowa, że *niektórzy z tych co tu stoją, nie zakosztują śmierci, aż ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego ze swoim Królestwem*? A może się pomylił? A może po prostu nie wiedział, co mówi? Oszukał, pomylił, nie wiedział? Bo jeśli nie ma żadnej innej opcji, to kiepsko. Bieda. I aż strach myśleć.

Notabene *persona* oznacza „mówić przez”, *per-sonare*, a w domyśle mówić przez teatralną maskę, jak robili to aktorzy na scenach antycznych teatrów. Zakładanie masek w przedstawieniach i tańcach spotykamy właściwie we wszystkich kulturach świata. Czy zdjęcie tych wszystkich masek, i to wszystkich naraz, nie może być traumatyczne? I nieśmiałe pytanie: co kryje się pod tymi wszystkimi maskami? Może jest to właśnie, jak w opisach, przerażające i oszałamiające, zatrważające i jednocześnie rewelacyjne. Rewelacja, z łaciny *revelatio* – objawienie, odsłonięcie; i to samo z greki, *apokalipsis* – zdjęcie zasłony, odsłonięcie, objawienie. *Kalýptein* – zasłaniać, *apokalýptein* – odsłaniać. Coś jak z tym słoniem i fortepianem: fortepian da się zasłonić, a słonia nie da się zafortepianić. Paweł: *Bo wiedza nasza jest fragmentaryczna i wycinkowo też prorokujemy. Lecz kiedy przyjdzie doskonałe/pełne, to wycinkowe straci ważność. Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, jak dziecko myślałem, rachowałem jak dziecko. Gdy stałem się mężczyzną, porzuciłem to, co dziecinne. Tak też teraz widzimy trochę jak w lustrze i enigmatycznie, ale wówczas zobaczymy bezpośrednio twarzą w twarz. Teraz znam fragmentarycznie, ale wówczas poznam tak, jak zostałem poznany.* Ewangelia Mateusza: *Jezus jeszcze raz zakrzyknął wielkim głosem i oddał ducha. A oto zasłona przybytku rozdarła się na dwoje, od góry aż do dołu, ziemia zadrżała, a skały popękały.* Pamiętaj, że ta zasłona przybytku oddzielała najświętsze miejsce w świątyni, Święte Świętych, do którego ludzie nie mieli wstępu. I oto rozdarcie zasłony odsłoniło wszystkim najświętsze miejsce przebywania Boga. Prorok Izajasz prosił: *Obyś rozdarł niebios a i zstąpił!*

Ale zabrnąłem w ciąg dygresji. I to jeszcze w przyciężkawe tematy. Powróćmy więc na ziemię, do klasycznego trójpodziału światów na niebo, ziemię i piekło. Reinkarnacja likwiduje nam potrzebę wciskania gdzieś na siłę czwartego czyścica. Ani on do rymu, ani do taktu (i zobacz, jak lichy się odmienia przez przypadki – przypadek?). Mimo wszystko gdybyś jednak za czyścicem zatęsknił, to zobacz, że ziemia pełni rolę – swego rodzaju – czyścica. Jednak usunięcie reinkarnacji spowodowało lukę, wyrwę, i trzeba było jakoś wymyślić go jako osobny, sztuczny twór, by tę lukę zapełnić – taki rodzaj protezy czy erzacu.

Wspominałem ci, że dla mnie Jan jest szczególny. To tak ważne tu dla nas nocne spotkanie Nikodema z Jezusem jest właśnie zapisane jedynie w jego Ewangelii. Ewangelia to dobra nowina. Dobra wiadomość, taki super news. *Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię.* Idźcie i wołajcie, że

Jezus ma dla was dobrą wiadomość! Pytam czasem ludzi – bo przecież każdy słyszał o Ewangelii – no dobrze, ale co to jest za wiadomość, co to za dobra nowina? I jestem zaskoczony, jak różne, a czasem nawet dziwne odpowiedzi dostaję. Chyba nigdy jeszcze nie usłyszałem tej prostej, wielokrotnie zapisanej w nomen omen Ewangelii, czyli nie gdzie indziej, jak w samej Biblii, że ta jakże dobra wiadomość jest nowiną, super newsem o – teraz werble! – o Królestwie Niebieskim. Czyli, że co? Że nie o śmierci na krzyżu? Nie o śmierci za grzechy?! No to czytamy. *[Jezus] wędrował przez miasta i wsie, nauczając i głosząc ewangelię o Królestwie Bożym.* Inne miejsce: *Jezus obchodził całą Galileę, nauczając w tamtejszych synagogach i głosząc Ewangelię o Królestwie.* Albo też, gdy zatrzymywali go w jednym mieście, to odpowiadał: *Także innym miastom muszę głosić Dobrą Nowinę o Królestwie Boga, bo po to zostałem posłany.* Bo dokładnie po to został przez ojca posłany i dokładnie on sam to nam mówi. I że ostatecznie *ta Ewangelia o Królestwie zostanie ogłoszona na całym świecie, na świadectwo wszystkim narodom i wtedy przyjdzie koniec.*

Jaka to nowina? Przecież wszyscy od zawsze wiedzą, że jest Królestwo – co tu nowego? I czym jest ten koniec? Z końcem to akurat buddyści mają bardzo łatwo, to dla nich proste. Wszystko, czego tu w kółko doświadczamy, nazywają kołem samsary, kołowrotem wcieleń trwającym aż do uwolnienia z niego, tylko tam owo uwolnienie trzeba sobie ciężko wypracować. Z kolei w chrześcijaństwie uwolnienie jest prostsze – wystarczy zdać się na Jezusa, zaufać mu i go posłuchać. Pójść za nim. Za to tu jedyna trudność tkwi w tym, żeby się w ogóle o tym dowiedzieć, zrozumieć, o co mu w tym wszystkim chodzi – przeniknąć przez zasłonę i zobaczyć. Albo skorzystać z tego, że zasłona została rozdarta. Gdy Jezus mówi do Judejczyków, którzy już mu uwierzyli: *Jeśli wytrwacie w mojej nauce, będziecie prawdziwie moimi uczniami i poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli/uwolni,* co on tam ma na myśli? Co jest tą obiecaną prawdą czekającą na poznanie – możemy próbować sobie jedynie coś wyimaginarować? A przede wszystkim wyzwoli od czego? Zobaczmy, jak ta wymiana zdań toczy się dalej: *Odpowiedzieli mu: Jesteśmy dziećmi Abrahama i nigdy nie byliśmy niczymi niewolnikami. Jak możesz mówić, że staniemy się wolni? Jezus im odpowiedział: Zaprawdę, zaprawdę mówię wam, że każdy, kto czyni grzech, jest niewolnikiem grzechu. A niewolnik nie przebywa w domu na zawsze, tylko syn przebywa na zawsze. Więc jeśli syn was wyzwoli, będziecie naprawdę wolni.*

Ale też czy owo pójście za Jezusem jest aż tak proste? *Jeśli ktoś chce pójść za mną, niech wyprze się samego siebie, weźmie swój krzyż i niech idzie za mną.* Dopiero wtedy, dopiero wtedy. W jakim celu, po co należy się wyprzeć samego siebie? Wyprzeć się swojego ja? Czy chodzi o ja, które przecież chciałoby pójść do nieba? Jeśli nie, to czy istnieje jakieś inne ja? A czym jest krzyż, który należy wziąć i skąd on się w ogóle bierze, jeśli Jezus wziął wszystkie nasze grzechy na siebie? (Notabene słowo Chrystus nie pochodzi od słowa krzyż, a od namaszczenia – i do tego jeszcze kiedyś sobie wrócimy. Ze słowem chrzest też jest niezły bałagan, ale nie czas na to).

Apostołowie i uczniowie mieli trochę łatwiej niż my, choćby dlatego, że zawsze mogli dopytać o wszystko na bieżąco, jednak nawet oni długo Jezusa nie rozumieli. A tak przy okazji, zdarzyło się, że przy dopytywaniu otrzymali i taką odpowiedź: *Mam wam jeszcze sporo do powiedzenia, ale teraz byście tego nie znieśli.* A to byli przecież wybrańcy! Pomyśl o tym, że być może mógłbyś usłyszeć to samo. Bo niby w czym mielibyśmy być lepsi od Apostołów? Wracając, do nas jego przekaz dotarł zafałszowany, zwłaszcza w warstwie interpretacji (pewnie ty powiedziałbyś dosadniej: sfałszowany). Spuśćmy teraz zasłonę milczenia na wszystkie polityczne i interesowne

powody tych za-falszowań. Może tylko jeden przykład bieżącego zafalszowania, który teoretycznie każdy sam łatwo mógłby sobie sprawdzić. Nowina jest o Królestwie Boga. Więc ktoś, kogo taki news zainteresował, może zapytać: no dobrze, to gdzie jest owo Królestwo, gdzie mam go szukać? I racja, może rzeczywiście, żeby tam trafić i się nie błąkać na ślepo, lepiej by było wiedzieć, gdzie ono dokładnie jest. Faryzeusze raz zapytali Jezusa o coś trochę innego i Bogu dzięki, że zapytali, bo on im przy tej okazji powiedział gdzie go szukać. Zobaczmy, jak ta scena wygląda w najpopularniejszej u nas Biblii Tysiąclecia mającej oficjalne *imprimatur* Kościoła katolickiego: *Zapytany przez faryzeuszów, kiedy przyjdzie królestwo Boże, odpowiedział im: Królestwo Boże nie przyjdzie dostrzegalnie; i nie powiedzą: „Oto tu jest” albo: „Tam”. Oto bowiem królestwo Boże pośród was jest.*

Czyli, że gdzie? No pośród was! Ktoś może powie, że jest w tym jakaś prawda. Ale trzeba przyznać, że taka lokalizacja jest trochę mało precyzyjna. Jeśli mogę tak powiedzieć, życzę powodzenia w szukaniu. Zobaczmy sobie teraz, co w oryginale powiedział Jezus: *...i nie powiedzą: „Oto tu jest” albo: „Tam”. Oto bowiem Królestwo Boże jest w e w n ą t r z was.*

Dla pewności popatrzymy sobie jeszcze dalej: greckie słowo oryginału to *entos* – wewnątrz, wewnątrz. Na wszelki wypadek sprawdzimy więc, czy owi, sprawujący swe urzędy, tłumacze znają znaczenie tego słowa. Poszukajmy może, jak je tłumaczą w innym miejscu: *Faryzeuszu ślepy! Oczyść w pierw wewnątrz kubka, żeby i zewnętrzna jego strona stała się czysta.*

Jeszcze co do języka, pomyślałem sobie kiedyś, że z jakiejś strony dobrze, że tak zwany oryginał dotarł do nas w grece. Przecież oni wszyscy tam wtedy nie rozmawiali ze sobą po grecku, tylko po aramejsku. Greka była w zasadzie językiem elit. Rzymianie mieli swoją łacinę. Były to trzy główne języki. I tak też potrójnie wypisana była tabliczka przybita nad głową Jezusa, ogłaszająca jego winę z punktu widzenia prawa rzymskiego: „Król Żydów”. Z punktu widzenia Żydów wina była inna i chcieli, by Piłat napis zmienić, ale on tą inskrypcją odgryzł im się za wszystkie kłopoty, które mu sprawili. Zauważ, jak historia zatoczyła koło: zaraz po przyjściu Jezusa na świat Mędracy ze Wschodu złożyli nowonarodzonemu pokłon, także tytułując go królem Żydów, a co więcej, właśnie za ów tytuł Herod chciał zabić Jezusa już w kołysce.

Co do greki, myślę, że jej największą zaletą dla nas jest fakt, że był to język antycznych filozofów z całym jego bogactwem precyzyjnych terminów. Być może najważniejsze dziedzictwo filozoficzne naszej kultury, w każdym razie jedna z jej podwalin. Język dobrze znany ze względu na relatywnie obszerną literaturę. Trochę tak, jakby dziś coś potencjalnie ważnego dla reszty świata spisywać nie w języku lokalnym, ale od razu po angielsku. Choć są pewne przesłanki, że przynajmniej część Ewangelii była spisana najpierw po aramejsku, a potem przetłumaczona na grecką wersję, którą znamy jako „oryginalną”. Są fragmenty, które po grecku nie mają tyle sensu, co po aramejsku, gdy przetłumaczy się je niejako z powrotem.

Wszystko co ci dziś napisałem, zamierzałem wspomnieć dużo później. Najpierw chciałem poopowiadać o innych rzeczach i powoli zbliżyć się do tych cięższych wagowo tematów – poprawię się. Jak widać nie dałem rady z nimi poczekać, bo za bardzo pałą mnie od wewnątrz. I tak oto znów pojawiło nam się *entos* – wewnątrz.

Pozdrawiam cię!

B.

Dzień dobry, Tośku!

Musiałem złapać oddech, odetchnąć, ale w ramach odpoczynku oczywiście rozmyślałem o temacie, który przerwałem. I dalej tak sobie dumam, że jak wiele jest nieb oraz wiele piekieł, tak i w pewnym sensie wiele jest światów na ziemi. Możesz urodzić się w rejonie Morza Arktycznego albo też gdzieś w rejonach Sahary. Tylko te dwa miejsca są – można powiedzieć – dwiema różnymi planetami, dwoma różnymi światami. Możesz urodzić się w biedzie, chorobach, głodzie i w cieniu śmierci. Albo w przeciwieństwie tego wszystkiego – w świetle zdrowia i bogactwa, ponad miarę obdarzony, czym tylko się da. Przy czym druga opcja wcale nie chroni przed depresją i cierpieniem. Bo już same narodziny są cierpieniem. Czy te wszystkie przypadki, całe możliwe ich spektrum, wszystko to przydarza się bez jakiegokolwiek przyczyny? Bo Bóg gra w kości? Czy jednak nie gra? (Tu wydaje się słuszną intuicja Einsteina!). On bawi się naszym życiem, czy nie bawi? *On bogacza nie stawia przed biednym*. Więc skąd ta zastanawiająca, jakże bijąca, uderzająca i powalająca różnica? *Był pewien bogaty człowiek, ubierał się w purpurę i najdelikatniejsze jedwabie, i dzień w dzień bawił się wystawnie. Był też pewien żebrak o imieniu Łazarz, którego porzucono przy jego bramie, a który był cały owrzodziały*. Jezus z zasady tego nie robi, jednakże w tej przypowieści nadał żebrakowi jakieś imię: Łazarz, po hebrajsku *El'azar*, Bóg pomaga.

Dalej widzimy, że Łazarz łaknął choć paru okruszków ze stołu bezimiennego bogacza. Cierpiał głód, a do tego psy lizały jego rany – gdzie musimy pamiętać, że psy w tej kulturze do dziś uważa się za zwierzęta nieczyste, więc poniekąd możemy to zobaczyć w kontrze do pięknych szat bogacza; Łazarz był jakby przyodziany we wrzody lizane przez psy. *I zdarzyło się, że umarł żebrak i został zaniesiony przez anioły na łono Abrahama. Umarł też bogacz i został pochowany*. Czyż nie wygląda to jakoś niesymetrycznie? Żebrak wyniesiony do nieba, a bogacz nigdzie nie poniesiony przez diabły, tylko pochowany w ziemi? Zaraz się to jednak klaruje: *a gdy w Hadesie, cierpiąc męczarnie, podniósł oczy, zobaczył z daleka Abrahama i Łazarza na jego łonie*. Zostawiam oryginalny grecki Hades, bo tak przetłumaczyli to ci, którzy będąc bliżej czasu życia Jezusa, lepiej moim zdaniem rozumieli i wiedzieli, którego greckiego słowa użyć. Bogacz *wtedy zawołał: Ojcze Abrahamie, zmiłuj się nade mną i poślij Łazarza, aby zanurzył koniec swego palca w wodzie i schłodził mi język, bo cierpię w tym płomieniu*. Abraham zaś *odpowiedział: Synu, wspomnij, że ty swoje dobro odebrałeś w swoim życiu, podobnie jak Łazarz zło, a teraz on tu doznaje pociechy, a ty cierpisz*. Dla pamięci to przypowieść, którą opowiada Jezus. A w niej widzimy, że bogacz w swoim życiu odebrał za coś nagrodę – nie wiemy dokładnie za co, ale jednak za coś, a nie, że dostał wszystko na piękne oczy – bardzo konkretną nagrodę odebrał, pokaźną, bogatą i wyraźnie dla każdego widoczną. *Podobnie jak Łazarz zło*, czyli na zasadzie *podobieństwa* i symetrii on także za coś otrzymał zło, ale wygląda na to, że odrobił już swoje i poszedł do nieba, *i teraz on tu doznaje pociechy*. Czy trzeba nam tu jeszcze dodawać, że w żadnym z obu przypadków nie widzimy w bieżącym życiu przyczyn ich stanu? Jeśli nie widzimy tego bezpośrednio w samej opowieści, to czy

myślisz, że nadużyciem będzie stwierdzenie, że dla ówczesnych słuchaczy opowieści Jezusa wszystko było zrozumiałe samo przez się i w pełni oczywiste?

Czym są niebo i piekło?

Hades – my dziś chyba boimy się tego słowa w kontekście Biblii. A niepotrzebnie. Rosjanie mają na piekło swoje zaskakująco krótkie słowo „ad”, które – nie wiem, czybyś zgadł – jest wzięte z **hadesu** właśnie. Nasze piekło pojęciowo jest zupełnie od niego odległe. Smażymy się w piekle na wieki i tyle z tego mamy. Ludzie wciąż upierają się przy tym obrazie, a w szczególności przy tym, że to już „na wieki”, pomimo iż to się wciąż z różnymi rzeczami nie zgadza i kupy nie trzyma. Ot dziś, dla odmiany, weźmy Izajasza: *Proś dla siebie o znak od Pana, Boga twego, czy to głęboko w Szeolu, czy to wysoko w górze!* Proś w Szeolu o znak od Pana – a po co, ja się pytam? Skoro sprawa przesądzona, zasądzona, wyrok na wieki i cześć. Co ciekawe, zobacz, że w górze, tak samo proś o znak od Pana! Po co? Dlaczego? Żebyś nie miał wątpliwości, sam Pan wypowiedział te słowa: *Proś o znak w Szeolu*. A mówił tam do niejakiego Achaza, na co trochę zaskakująco, ale i też ciekawie *Achaz odpowiedział: Nie będę prosił, i nie będę wystawiał Pana na próbę*. A inny werset z Samuela – zdaje mi się, że już był, ale w sumie co szkodzi go tu sobie przypomnieć: *To Pan zadaje śmierć i ożywia, strąca do Szeolu i z niego wyprowadza*. Zawsze możemy się też jeszcze wspomóc Septuagintą i trochę z tego piekła poratować. Septuaginta była pierwszym tłumaczeniem Starego Testamentu z hebrajskiego na grekę, powstałym na przestrzeni od 250 do 150 roku przed (!) Chrystusem. I tak hebrajski szeol – który w Starym Testamencie pojawia się adekwatną liczbę, bo 66 razy – najczęściej tłumaczony jest tam na *hades*, poza tym trzy razy na *thanatos*, śmierć, i raz na *botros*, czyli kloakę, szambo, co samo w sobie jest tyleż ciekawe, co mocno obrzydliwe. Sam Jezus używał czasem jeszcze innego słowa, gdy mówił o piekle, a które zostało zaimportowane z hebrajskiego do greki jako *géenna*, czyli jakże nam dobrze znana gehenna. Teraz można jeszcze dorzucić nowe: holokaust. A jeszcze co do piekła jako szamba, które musiałyby być przecież mokre, cuchnące i raczej zimne, to buddyści mają właśnie cały arsenał piekieł, od piekielnie ognistych po piekielnie mroźne, przy których Syberia to pikus.

W przekładach najczęściej pojawiał się hades, ale ktoś mógłby zapytać, czy tłumacze mieli jeszcze jakąś alternatywę, czy mogli użyć innego greckiego słowa? Tak, jest jeszcze inne pojęcie, Tartar, określające najgłębszą otchłań piekieł leżącą tak głęboko, że kowadło zrzucone z Hadesu do Tartaru leciałoby dziewięć dni i nocy. I Tartar pojawia się nawet w Biblii jeden jedyny raz pod sam koniec Nowego Testamentu. Piotr w swoim drugim liście go używa, aby mieć gdzie umieścić upadłe anioły.

Piekło, piekło własnego umysłu. Czym jest niebo i czym jest piekło?

Pewien arogancki i wojowniczy samuraj zaczepił pograżonego w medytacji mistrza zen Hakuina. Nonszalancko zażądał odpowiedzi na pytanie, czym są niebo i piekło. Hakuin otworzył oczy, spojrzął na niego i lekceważąco odpowiedział: „A czemu miałbym odpowiadać komuś tak nędznemu, obrzydliwemu i głupkowatemu jak ty?! Wprost nie mogę patrzeć na twoją dumną gębę!”. Samuraj, słysząc te obelgi, poczerwieniał z wściekłości i natychmiast chwycił za swój ostry jak brzytwa miecz, przystawiając go do szyi Hakuina. Na to mistrz spokojnie rzekł: „Oto otwierają się przed tobą bramy piekieł”. Samuraj zastygł, po czym schował miecz i złożony dłoń, oddał najdłuższy i najgłębszy w swoim życiu pokłon. Wtedy usłyszał: „A teraz otwarły się przed tobą bramy niebios”.

Trzymaj się ciepło!

B.

PS

Coś nie mogę się ostatnio obejść bez tych PS-ów. A może rodzi się nam tu jakaś nowa, świecka tradycja? W każdym razie jeszcze czytam przed wysłaniem, co napisałem i tak mi się coś przypomniało *à propos* tego, że *Łazarz został zaniesiony przez anioły na łono Abrahama*. Mogę spróbować ci opowiedzieć, jak to jest być niesionym przez anioły.

Raz w astralnym śnie, czyli takim, który jest niezwykle rzeczywisty i z którego wszystko się wyraźnie i dokładnie pamięta, szedłem nocą przez osiedle, na którym się wychowałem. Pchałem pod górkę rower, który niejako „wiązał” mi ręce, przez co czułem się mocno ograniczony w ruchach. Nagle zgasty wszystkie latarnie i światła w oknach, i w ogóle wszelkie światło. Zrobiło się przerażająco ciemno, trochę podobnie jak w świecie dziecięcych lęków przed ciemnym pokojem. Wtedy poczułem, że w tej ciemności zbliżają się do mnie jakieś demoniczne potwory, które chcą mnie rozerwać na strzępy. Jedną ręką trzymałem rower, a drugą próbowałem zaświecić małą latarkę. Do tej pory niezawodna, pierwszy raz nie działała, a ja w panice do ostatniej chwili nerwowo naciskałem włącznik. Demony mnie dopadły i mocno schwyły pod ręce. Jeszcze ułamek sekundy i już mnie rozerwą. W tym momencie uświadomiłem sobie, że nie ma się czego bać – nie wiem, jak ci to wyjaśnić – że w sensie duchowym nic mi nie mogą tak naprawdę zrobić, najwyżej rozszarpać ciało, i że jest to teraz świetna okazja, by coś odpracować, że jeśli mam jakieś długi, czegoś jestem winien lub komuś jestem coś winien, to proszę, oto jestem i każdy kto chce, może mnie rozszarpać. Oczywiście tutaj relatywnie długo to trwa, gdy staram ci się wszystko opisać i zwerbalizować – we śnie trwało krócej niż mgnienie oka.

Mentalnie, jakby w sercu, rozłożyłem ramiona w geście poddania. I jednocześnie te ręce, które mnie dopadły i tak mocno trzymały, w tym samym okamgnieniu przemieniły się i stały najdelikatniejszymi dłońmi aniołów, które podtrzymywały mnie niewyobrażalnie czule, tak bym nie upadł i nic mi się nie stało. To były stale te same dłonie i ani na ułamek sekundy mnie nie puściły – jedynie się przemieniły. Teraz unosiły mnie lekko i subtelnie, by podtrzymując, powoli zacząć układać mnie na miękkiej trawie przy chodniku, a ta trawa stawała się najmiększym materacem, niebiańsko puszystym i białym jak chmurka. Mimo iż dalej nic nie widziałem, jakimś wewnętrznym okiem widziałem tę biel. A podtrzymujące mnie dłonie wraz ze wszystkim robiły się coraz miększe, delikatniejsze, otulając i otaczając mnie miłością i najczulszą opieką. Coś jak mama tuląca i kołysząca swoje niemowlę – tylko o niebo bardziej.

Zacząłem się budzić w swoim łóżku i przez chwilę było ono jeszcze tak niebiańsko miękkie, a ja rozkoszowałem się delikatnym ukołysaniem w ulotnym zawieszeniu pomiędzy dwoma światami.

Całe owo doświadczenie, jakże namacalnie (!) pokazało mi, że Bóg jest jeden, że istnieje tylko jedna siła, która przyjmuje wszystkie istniejące formy, że ukrywa się za nimi wszystkimi. Ktoś powiedział, że Bóg jest jak ten człowiek, który najpierw się dobrze ukrył, a potem cicho chrząknął.